

Spelniona pisarka,
która zajdzie daleko.
MARGARET ATWOOD

KATHERENA VERMETTE

Rodzina Strangerów

 MIELKA LITERA

[fragment książki](#)

MARGARET

W dniu, w którym pochowała matkę, Margaret była bardzo zmęczona.

Ludzie zaczęli wychodzić, gdy tylko mogli. Ona odwaliała całą robotę, a każdy z nich wstępował jedynie po to, żeby wypić drinka i coś przekąsić, po czym spieszył do drzwi. Oczywiście wszyscy zostawiali po sobie bałagan. Mówiąc: „Do widzenia”, „Bardzo mi przykro” i „Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała”. Żadnego z nich pożytku. Tak Margaret określiłaby każdego z nich. Jeśli czegoś potrzebowała z ich strony, to odstawienia naczyń do zlewu. Utknęła jako kelnerka we własnym domu. W tym cholerym domu. Elsie nie nadawała się do niczego, siedziała nadąsana w swoim pokoju z nowym, głupim jak but chłopakiem, po wysępieniu tyłu papierosów, ile tylko zdołała, od swoich krewnych i po tym, jak wypiała o kilka kieliszków wina za dużo, tego, które kupiła Margaret.

Genie guzdrała się w kuchni. Nie żeby była pomocna, tylko wydawało jej się, że jest. Rozparta w fotelu należącym do Margaret głądziła o samotności, idiotycznych klubach i hobby, które znalazła sobie na złotą jesień życia. Genie nie była dużo starsza od Margaret, ale zachowywała się tak, jakby była u kresu swoich dni.

– Byłabyś zaskoczona, jak wiele pociechy może przynieść liczenie ściegów i patrzenie, czy się zgadzają. Skończenie czegoś, co będziesz mogła podarować wnukom, żeby było im ciepło. To cudowne – powiedziała Genie, spoglądając gdzieś w dal, podczas gdy jej herbata stygła. Zawsze była prostoduszna, nieodmiennie bujała w obłokach, jak to mawiała Annie. – Po prostu uwielbiam wyraz tych twarzyczek, kiedy owijam ich swetrem albo szalikiem. To jest tak, jakbym dawała im prawdziwą miłość.

Margaret oparła się o blat i zapaliła papierosa, starając się nie mówić drwiącym tonem.

– Nie myśl, że wezmę się za dzierganie, Genie. Poza tym dzieciaki Elsie chyba nie chodziłyby w ręcznie robionych ciuchach. – Nieokrzese dziewczynki, zdzierały ubrania szybciej, niż z nich wyrastały. To bez sensu poświęcać wysiłek dzieciakom, które nie nauczyły się tego doceniać.

Synowa Genie, zbyt młoda druga żona Jerome’a, Kelly, weszła z salonu, sprawiając wrażenie zaokrąglonej po zbyt wielu przekąskach; była niegustownie ubrana w stary sweter i tandetną poliestrową spódnicę. Przynajmniej miała spódnicę. I wyglądała lepiej niż Jerome, ten bezużyteczny obibok w czarnym polarze i džinsach. Na pogrzebie własnej babki! Wstyd dla rodziny.

– Jak się czujesz, mamó? Już prawie gotowa do drogi? – Kelly zwracała się do Genie zbyt głośno, a wszystko to z wdziękiem kolubryny. Nigdy nie miała za wiele klasy, ale całkiem się zapuściła po urodzeniu dzieci. Niektóre kobiety tak mają, pomyślała Margaret, przesuwając dłonią po talii, nadal płaskiej pod świeżo wyprasowaną bluzką.

– O tak, przypuszczam, że już czas. – Genie popatrzyła przez okno nie wiadomo na co.

– To była przeurocza ceremonia – powiedziała bezsensownie Kelly, potrząsając pulchnymi policzkami. Przynajmniej włosy miała porządnie upięte.

Margaret kiwnęła głową i wydmuchnęła dym. Wiedziała, że gdy tylko zgasi tego papierosa, będzie chciała zapalić następnego.

Kelly była głupią kobietą, ale to nic w porównaniu z pierwszą żoną Jerome’a, wyjątkowo głupią Renee. Tamta pokazała się w zakładzie pogrzebowym podczas obrządku, ale miała tyle przyzwoitości, aby nie przychodzić do domu. Jakby nie należała już do rodziny. Choć przez te pięć minut, które spędziły razem, doprowadzała Margaret do szału. Przydybała ją, żeby złożyć jej kondolencje. Margaret tego nie pojmowała. Jeśli Renee naprawdę chciała okazać szacunek, powinna, do diabła, zostawić ją w spokoju.

– Och, była wspaniałą kobietą, Margey. Taką silną matroną – westchnęła głupia Renee. Jej srebrne kolczyki zatańczyły, dzwoniąc i połyskując w świetle. Zapewne zrobiła to celowo, aby zwrócić uwagę, jakie są kosztowne. W każdym calu udawała rdzenną mieszkankę, ta Renee. Nosiła jasnoniebieską suknię ze sztucznego jedwabiu i narzutkę wyszywaną paciorkami. Nawet sandały miała turkusowe. Wyglądała, jakby użyła opalacza w spreju, była zbyt mocno opalona, by mogło to być naturalne, a jej włosy, przedtem kręcone i blond, teraz były ciemne i proste. Była napuszczona, jak zawsze, ilekroć spotykała Margaret. A Margaret powstrzymywała się z całych sił, żeby nie parsknąć jej śmiechem prosto w twarz.

Renee wciągnęła się w te indiańskie historie kilka lat wcześniej, gdy odkryła, że jej prapradziadek był metyskim szamanem czy kimś podobnym. Przynajmniej tak twierdziła. Margaret uważała, że to bzdury. Nigdy nie słyszała o prawdziwym

Indianinie określanym jako szaman, nie wspominając o Metysie. Jerome nawet się z tego naśmiewał, ale oczywiście niczego nie podważył. Nigdy nie należy narażać się stukniętej byłej żonie. Wciąż się bał głupiej Renee. „Guzik mnie obchodzi, co ona o sobie mówi”, wymamrotał w szklankę piwa podczas którejś wizyty. „To już nie mój problem”.

Sasha nie uznał tego za zabawne. W przeciwieństwie do Margaret.

– Nie rozumiem tych ludzi – powiedział. – Myślą, że są swojakami, bo raz ktoś z ich rodziny pocałował Indianina czy coś w tym stylu. Czemu teraz wszyscy chcą być Indianami? Nie chcieliby, gdyby dorastali jako Indianie, tak jak my.

– To nie ma dla nas znaczenia – oświadczył Jerome. Margaret widziała, że chciał zmienić temat.

– Ależ ma – naciskał Sasha. – Gdy ludzie się pod kogoś podzywają, to ma znaczenie. – Sasha był na tym punkcie niezwykle drażliwy, ale jak zawsze nie do końca wiedział dlaczego.

Margaret prychnęła drwiąco.

– Prawda zawsze wyjdzie na jaw. Pewnego dnia przekonają się, kim ona tak naprawdę jest. Będzie jak zwykle.

Jerome poprosił tylko o drugie piwo.

To było wkrótce po tym, jak ta kobieta dostała świetną pracę na uniwersytecie i zaczęła używać wymyślonego imienia, choć każdy nadal nazywał ją Renee. Margaret nigdy nie musiała robić czegoś takiego. Nigdy nie udawała kogoś innego, aby osiągnąć to, co osiągnęła. Jeśli osiągnęła cokolwiek.

– Wizyta w tym domu pogrzebowym zawsze przypomina mi Josepha – odezwała się Genie, przerywając Margaret złość się na wkurzającą Renee, żeby samej zacząć ją wkurzać. – Mój

biedny młody Joseph. Przepraszam, Margey, ale wszyscy o tym pomyśleliśmy.

Jak diabli, pomyślała Margaret, wzięła głęboki oddech i znowu zaciągnęła się dymem.

Kelly położyła tłustą dłoń na ramieniu Genie. Wszyscy zawsze tak się z nią cackali.

– Nie wyobrażam sobie, co czułaś, tracąc go tak wcześnie, mammo.

Ci cholerni głupcy nawet nie potrafili w tym dniu skupić się na właściwej zmarłej osobie. Nie poświęcili jej matce nawet dwóch minut. Jakby staruszka żyła zbyt długo, aby warto było ją opłakiwać.

Jednak niemal ogarnęło ją współczucie. Przynajmniej wobec Genie. Zawsze myślała o swoim bracie, gdy zjawiała się w tym domu pogrzebowym, i wiedziała, że od śmierci Josepha Genie miała nie po kolei w głowie. Margaret prawie jej współczuła. Przez chwilę.

Genie poklepała Kelly po dłoni i uniosła wzrok z głupawym uśmiechem.

– Mam przynajmniej swojego Jerome’a. I wszystkie kochane wnuki.

Margaret zachciało się śmiać. Jerome w niczym nie był podobny do ojca. Nie miał jego wdzięku ani uroku. Nawet z wyglądu niezbyt go przypominał. Margaret zwykła się dopytywać, jak to jest, że Jerome tak bardzo wdał się w Genie. Annie kazała jej siedzieć cicho, ale Margaret wiedziała, że jej mama też tak myśli.

– Poszukam Jerome’a. – Kelly wyszła ociężałym krokiem, by znaleźć swego bezużytecznego małżonka, jakby był inwalidą,

a nie dorosłym mężczyzną. Doskonale wiedziała, że jest na gan-ku z innymi, z Sashą, Tobym, Johnem, wszyscy palili zbyt wiele i pili za dużo piwa. Potrzebowali tylko jakiejś wymówki, żeby tak postępować. Choć Sasha niespecjalnie. Pracowali coraz rzadziej, o ile Margaret mogła to osądzić. I coraz mniej przynosili do domu.

Jej brat John wyszedł dwa miesiące wcześniej. Po zwolnieniu warunkowym, po oskarżeniu o włamanie, po napadzie na bank przed laty, po tych różnych wybrykach John większość dorosłego życia spędził za kratkami, aż pewnego dnia po prostu się zjawił. Potem przychodził codziennie, zjadał wszystko i nigdy nie zamykały mu się usta. Stał się muskularnym starszym mężczyzną, ze skórą coraz gęściej pokrytą własnoręcznie zrobionymi tatuażami i bliznami, bez ambicji i jakiegokolwiek celu. Jakiegokolwiek, który Margaret mogłaby dostrzec. Jednak sprawiał, że matka była szczęśliwa. Przez ostatnie tygodnie siadywał z nią codziennie, rozmawiał i robił herbatę. Margaret przypuszczała, że właśnie na to czekała Annie, na to, żeby znowu zobaczyć Johna jako wolnego człowieka. Potem bardzo szybko odeszła, niczym zbyt długo wstrzymywany oddech.

Trzymał ją za rękę, gdy odchodziła. Kiedy jej matka nie była już w stanie podnieść się z łóżka i odmówiła ponownego pójścia do szpitala. John przynosił jej herbatę, podczas gdy Margaret zajmowała się całą resztą, a Elsie krzątała się po domu, udając, że opiekuje się dziećmi. To właśnie John trzymał ją za rękę. Nie Elsie, która krzyknęła, gdy wszystko zobaczyła, i zrobiła niezłe przedstawienie, tuląc i całując zwłoki oraz zawodząc: „Mamere, Mamere”. Nie Margaret, która stanęła w drzwiach, niezdolna tam wejść, i mogła jedynie obserwować, jak skóra jej matki

zmienia się w kamień. W jednej chwili wyglądała zupełnie inaczej. Tak szybko. Tak dziwnie.

John nie puścił jej ręki. Sasha poszedł po Toby'ego. Margaret sama musiała zadzwonić pod 911. Jej głos brzmiał spokojnie. Powiedziała, że jej matka nie żyje. Nie, karetka nie jest potrzebna. Przyślijcie koronera. Nie wiedziała, czy to właściwy sposób postępowania, prawidłowa procedura. Jej ojciec zmarł w szpitalu. Pielęgniarki zajęły się tymi sprawami.

Po tym, jak Kelly opuściła pokój, Genie ponownie zaczęła bujać w obłokach. Margaret, uwolniona od kolejnych bezcelowych pogawędek o niczym, zgasiła papierosa i wróciła do pracy. Była zmęczona, wręcz wykończona. Elsie rzecz jasna nigdzie nie można było znaleźć. Margaret przez cały dzień była na nogach, najpierw zrobiła mnóstwo minizapiekanek i wykwinnych kanapek, takich, do których używa się specjalnego chleba, by dały się zwinąć i pociąć na okrągłe kawałki. Musiała wcześniej złożyć specjalne zamówienie. Wszystko wysprzątała, upiekła indyka, szynkę, kupiła plastikowe talerze i sztucce. Sasha twierdził, że musi pracować, Elsie nie przestawała płakać, więc jak zwykle wszystko spadło na Miniastą Maggie.

– Czas jechać, mamo. – Kelly wróciła z kurtką Genie, którą pomogła jej włożyć. – Jerome jest już w samochodzie.

Genie tylko uśmiechnęła się głupawo i pozwoliła się ubrać.

Kelly zwróciła się do Margaret, siląc się na uprzejmy uśmiech, i wyciągnęła rękę do chłodnego uścisku.

– Trzymaj się, Margaret. To była piękna ceremonia – powtórzyła. Jedno z głupstw, jakie ludzie mówią na pogrzebach.

Genie wyciągnęła ramiona, żeby uściskać Margaret, a ona pochyliła się ku niej z uprzejmości.

– Daj mi znać, gdybyś czegokolwiek potrzebowała. Czegokolwiek. Po prostu zadzwoń. Naprawdę cię kochała, dziewczyno. Tak naprawdę polegała na tobie.

Margaret skinęła głową opartą o kościste ramię Genie i zastanowiła się, o co chodziło – o miłość czy poleganie na kimś?

Dwie kobiety oddaliły się chwiejnie, Genie trajkocząca o smutnych czasach i zjednoczonej rodzinie. Margaret prychnęła, zapewne zbyt głośno. Rodzina, akurat, pomyślała, zapalając kolejnego papierosa. Jerome przyjeżdżał coraz rzadziej, a Kelly nigdy się z nim nie zjawiała. Genie, jako starszej, można było wybaczyć, ale ona ledwo potrafiła zadzwonić raz w miesiącu i tak naprawdę rzadko rozmawiała z Annie. Co do dzieci Jerome’a, młodsze od tego odsunięto, co było w porządku, bo były jeszcze małe, ale starsze nawet się nie pokazały, a teraz już dorosły, więc powinny to zrobić. Lyn, artystka, podobno bez przerwy podróżowała, przebywała w pieprzonej Szkocji, no jasne. A druga, June, nadal chodziła do szkoły gdzieś w Ontario. W każdym razie tak mówiła Renee, gdy dopadła Margaret, jedynie po to, aby przechwalać się uzdolnionymi córkami. Przy wszystkich swoich dokonaniach te dwie z trudem rozpoznałyby własną prababkę. Rzadko przychodziły w odwiedziny, odkąd były małe. Margaret przynajmniej nauczyła swoje dzieci szacunku. Zrobiła, co mogła, z tym, co miała. Nie tak jak Renee, która się objała.

– Jak się miewasz, mamó? – Alex wszedł ciężkim krokiem i przyciągnął sobie krzesło, które mocno zaskrzypiało na linoleum. Margaret zmarszczyła brwi i natychmiast powiedział: – Przepraszam.

Był na tyłach domu razem z „chłopakami”. Żaden z nich to

nic dobrego, o ile wiedziała, ale przynajmniej dzisiaj zachowywali się spokojnie.

– W porządku – odpowiedziała i odwróciła się do zlewu, odkręcając kran.

Za jej plecami syn westchnął, a potem poszedł pozbierać naczynia z salonu. Był dobrym chłopakiem. Nie jak jego brat Joey, który nie odezwał się do matki, nawet po tym. Tchórz.

– Zadzzwoni, kiedy nie będzie tu aż tak gorąco – stwierdził rzeczowo Sasha, jakby to, że jej syn naruszył warunki zwolnienia i zwał na drugi koniec kraju, nie miało znaczenia. Jakby „gorąco” było najważniejsze. – Nie możesz oczekiwać, że teraz wróci do domu. To byłoby proszenie się o kłopoty.

Jej bezużyteczny syn wreszcie znalazł doskonałe usprawiedliwienie, aby już nigdy się do niej nie odezwać.

Gdy niemal wszyscy goście sobie poszli, usłyszała włączony telewizor i wiedziała, że to dwie dziewczynki znowu chcą coś oglądać. Cedar miała zaledwie dwa latka, a już potrafiła posługiwać się pilotem. Margaret z trudem mogła to sobie wyobrazić. Ale tak właśnie czasami spędzały całe dni, siedząc zbyt blisko ekranu, jak dzieci-zombie, zepsute przez Elsie. Margaret cisnęła talerze w wodę z pianą i zaczęła je szorować.

Potem zjawił się Sasha, cuchnąc piwem i papierosami, zupełnie jakby się z czegoś takiego wylągł. Nie zadała sobie trudu, aby się obejrzeć.

– Kilkoro chłopaków wybiera się do Legionu. Trzeba by się pożegnać jak należy i tak dalej. Później odwiozę Johna do ośrodka. – Pocałował ją w czubek głowy.

– Musi tam być przed ósmą. Punktualnie.

– Wiem, wiem. – Sasha westchnął chrapliwie.

Nie pofatygowała się, żeby mu odpowiedzieć. Po prostu pracowała dalej. Usłyszała trzaśnięcie tylnych drzwi, jej mąż i bracia hałaśliwie ruszyli do samochodu, a potem odjechali. Stare podrasowane auto ledwie na chodzie, o wiele za głośne.

Alex przyniósł kilka talerzy, a potem z namysłem oznajmił:

– Ja też wychodzę.

– Dokąd się wybierasz?

– Po prostu do znajomego.

– Mhm. – Margaret wiedziała, że „znajomy” oznacza dziewczynę, inaczej wymieniliby imię jakiegoś chłopaka.

Alex przynajmniej wiedział, jak zachowywać się spokojnie i uprzejmie. Gdy zechciał. Starannie zamknął za sobą tylne drzwi i z ostatnim trzaśnięciem zapadła upiorna cisza. Pomijając szmer jakiegoś głupiego programu telewizyjnego dla dzieci dobiegający z salonu. Margaret przetarła blaty i usłyszała, jak włącza się zbyt głośno pracująca lodówka. Przeszła do salonu i popatrzyła z góry na dziewczynki, które nawet jej nie zauważyły. Wygładziła porozrzucane narzuty i poduszki. Słyszała nawołujące się dzieciaki gdzieś na ulicy i zastanawiała się, czy to Alex i jego kumple. Wciąż było słonecznie, wciąż ciepło, taka wczesna wiosna, gdy wszyscy zdają sobie sprawę, że mogą nareszcie wyjść na dwór i trochę zaszaleć. Taka pora roku, gdy wszyscy są poza domem i nic dobrego z tego nie wynika, pakują się bez opamiętania w kłopoty, nie zważając na innych. Ostatnią rzeczą, którą musiała zrobić, było zaciągnięcie zasłon. Nienawidziła, gdy były rozsunięte, myślała, że cała okolica zagląda w okna i dowiaduje się o jej sprawach. Rozsunęła je tylko dlatego, że przychodzili ludzie, przyszli do tego starego, zaśmieconego domu, żeby wyjadać jej potrawy i składać kondolencje i życzenia. Margaret zawsze

czuła się lepiej, gdy były zaciągnięte, jak teraz, kiedy pokój był równie pusty jak te wszystkie słowa. Uleciały przede wszystkim dlatego, że nic nie znaczyły. Nawet echo nie pozostało. Margaret tak mocno zaciągnęła zasłony, że niemal spadły z metalowych haczyków. Phoenix z zaskoczeniem oderwała się od programu telewizyjnego.

– Najadłyście się, dziewczynki? – spytała Margaret, ponieważ prawdopodobnie nikt tego nie zrobił.

Phoenix przytaknęła i szturchnęła Cedar-Sage, która zajęczała:

– No co?

– Babcia do ciebie mówi – powiedziała dziewczynka głosem starszym, niż wskazywałby jej wiek.

Cedar-Sage się pozbierała.

– Tak, babuniu?

– Dostałyście dość jedzenia? Jesteś głodna?

– Nie, babuniu. – Kręciła główką trochę zbyt energicznie i Margaret prawie się do niej uśmiechnęła.

– Dobrze, skończcie oglądać ten program i idźcie do łóżka. – Na dworze wciąż było jasno, ale dzień trwał długo, a te dziewczynki dla odmiany powinny położyć się spać o przyzwoitej porze. Ich matka tego nie pilnowała. Elsie najprawdopodobniej nie wyjdzie teraz ze swojego pokoju. Tak to wyglądało od czasu, gdy staruszka odeszła. Płakała, jakby nie mogła przestać, i zamartwiała się, że nie może nad tym zapanować. Margaret nie potrafiła jej zrozumieć. Nie było to przecież niespodziewane. W końcu starszej pani stuknęła już dziewięćdziesiątka.

Gdy wszystko zostało wreszcie uporządkowane i wiedziała, że nie zobaczy żadnego mężczyzny przez kilka godzin, wyjęła z lodówki piwo dla siebie i przysiadła na papierosa. Z salonu dobiegała

jakaś melodia, lecz Phoenix wyłączyła posłusznie telewizor i powiedziała młodszej siostrze, że czas iść do łóżka. Margaret nawet nie musiała jej przypominać ani im pomagać. Phoenix wzięła Cedar-Sage za rękę i zaprowadziła po schodach na górę.

– Dobranoc, babciu.

– Branoc, babuniu.

– Dobrej nocy, dziewczynki – powiedziała, wypuszczając powietrze. Czasami były z nich takie grzeczne dziewczuszki. Słyszała, jak myją zęby i cicho mówią do Elsie, która tylko wyjęczała coś w odpowiedzi. Nawet nie wstała, żeby je przykryć na noc. Cholerna Elsie. Margaret zamierzała niedługo pójść na górę i sprawdzić, co u nich. Ta dorosła kobieta zachowywała się jak rozpieszczone dziecko. Jak ta dziewczyna zdołała w ogóle uniknąć dorosłości? Margaret czuła, że zna odpowiedź, ale spróbowała pomyśleć o czymś innym.

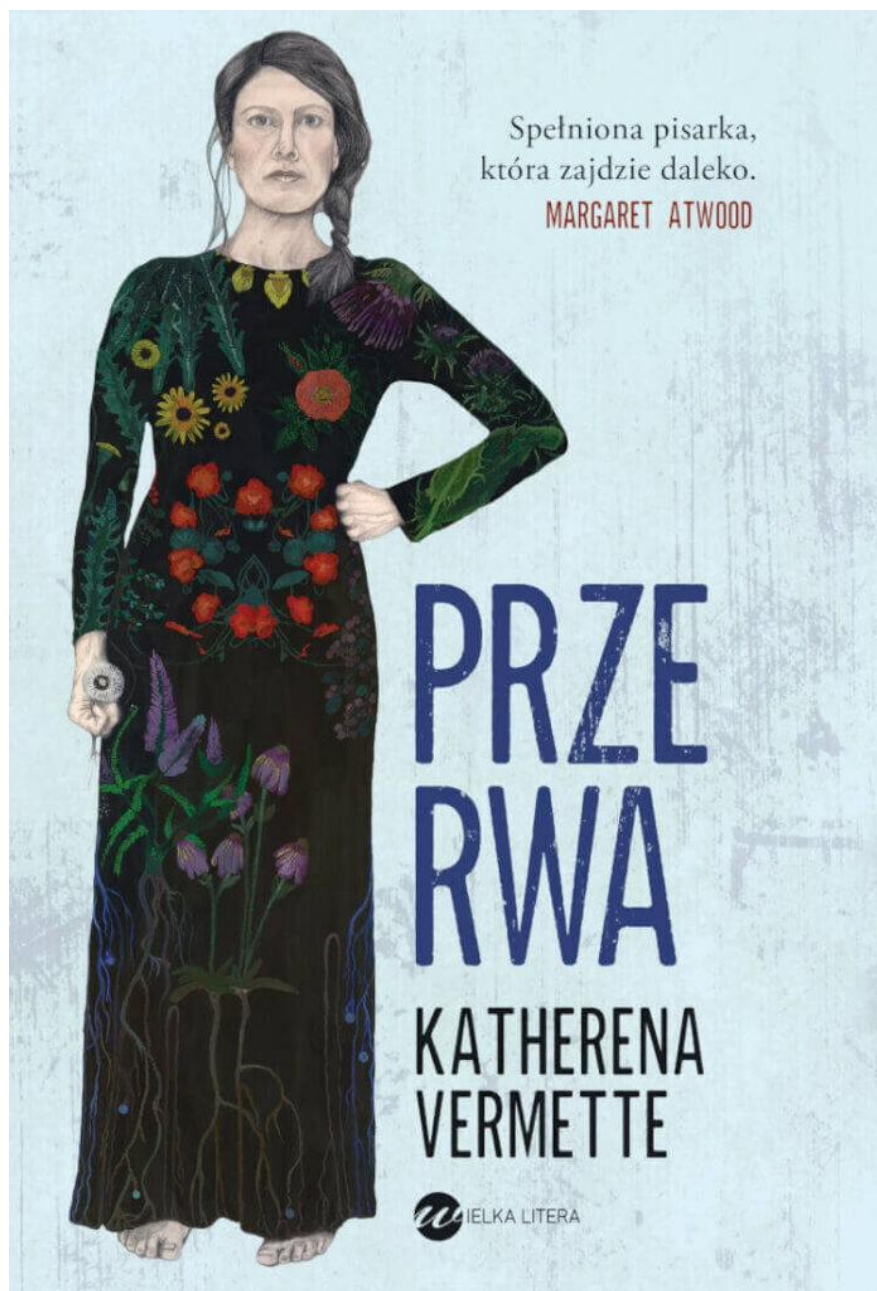
Wyciągnęła kolejne piwo i zabrała ze sobą na kanapę pół torbki czipsów. Rzadko piła piwo. Wzdymało ją od niego i zbyt często chciało jej się sikać, ale co, do diaska, pomyślała i ponownie włączyła telewizor. Skakała po kanałach, ponieważ nigdy nie doszła, jak używać tego czegoś z aktualnymi programami, aż znalazła jakiś głupawy reality show o urządzaniu mieszkań, z tych, w których każdy wydaje zbyt wiele pieniędzy na niepotrzebne remonty. Lubiła takie programy, choćby dlatego, że mogła wściekać się na głupich, przesadnie umalowanych ludzi, którzy mieli więcej pieniędzy niż rozumu.

Dziewczynki już spały, gdy do nich zajrzała. Sprawdziła, co u Elsie, ale ona leżała twarzą do ściany, do której przysunięte było łóżko. Na szczęście jej przygłupi chłopak sobie poszedł. Ledwo wydusił z siebie ze dwa słowa do kogokolwiek, w sumie nie

było to ważne. Siedział tylko przy Elsie, jakby przez to coś robił. Oczywiście nie miał pracy, ale przynajmniej na razie trzymał się z dala od kłopotów. Nie tak jak ten Shawn, który wciąż siedział w więzieniu, kretyn jeden. Margaret od dłuższego czasu nie miała o nim wieści i wątpiła, aby kiedykolwiek je dostała.

Gdy piwo się skończyło, wychyliła żytniówkę. Kiedy skończyły się chipsy, zjadła resztki tych zrolowanych kanapeczek, które tak starannie zawinęła w plastik. Przeskoczyła na kanał z *Sędzią Judy*. Bardzo lubiła tę kobietę. Stanowczość, pewność. Margaret zawsze chciała być kimś takim. Wiedziała, że byłaby, gdyby dostała choć najdrobniejszą możliwość. Tak by było, gdyby nie odebrano jej tej jednej jedynej szansy.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl